Laura Bellini

Miesiąc bez walizek



Wspólny adres na chwilę.
Bliskość bez terminu zwrotu

Miesiąc bez walizek

Wspólny adres na chwilę. Bliskość bez terminu zwrotu

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900178

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Dwa klucze do jednych drzwi 13
Rozdział 2 - Umowa na trzydzieści dni 24
Rozdział 3 - Kiedy woda znajduje drogę 37
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie zabiera się w podróż 48
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 59
Rozdział 6 - Odległość jednego oddechu 70
Rozdział 7 - Co zostaje po pocałunku 81
Rozdział 8 - Miasto, które uczy zostawać 92
Rozdział 9 - Ryzyko wspólnego adresu 104
Rozdział 10 - Bez daty wyjazdu 115
Rozdział 11 - Miejsce na własne życie 125
Rozdział 12 - Bilet w jedną stronę 137
Rozdział 13 - Cena własnych decyzji 147
Rozdział 14 - Prawda, której jeszcze nie umiemy unieść 159
Rozdział 15 - Wszystkie drogi prowadzą dokądś 170
Rozdział 16 - Odległość, której nie mierzy się kilometrami 181
Rozdział 17 - To, czego nie można spakować 190
Rozdział 18 - Próba zwyczajnego dnia 200
Rozdział 19 - Ostatni dzień pod jednym adresem 211
Rozdział 20 - Bez terminu zwrotu 222

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam po wejściu do barcelońskiego mieszkania, było schowanie walizki do szafy.

Nie rozpakowanie jej. Nie sprawdzenie widoku z balkonu ani nawet otwarcie okien, chociaż powietrze pachniało rozgrzanym kamieniem, morzem i czymś słodkim z pobliskiej piekarni. Po prostu wsunęłam walizkę za przesuwne drzwi, zamknęłam je i przez chwilę patrzyłam na swoje odbicie w lustrze.

Trzydzieści siedem lat, kilkanaście adresów w ciągu ostatnich pięciu lat i niepokojąca łatwość, z jaką potrafiłam nazwać każde nowe miejsce domem, pod warunkiem że nie musiałam zostawać w nim zbyt długo.

Tym razem miało być inaczej.

Nie dlatego, że zamierzałam zapuścić korzenie. Przeciwnie. Przyjechałam do Barcelony na dokładnie trzydzieści dni, żeby skończyć projekt, na który czekałam od dwóch lat, i przekonać samą siebie, że potrafię przez miesiąc żyć bez ciągłego pakowania. Bez sprawdzania połączeń lotniczych przy śniadaniu. Bez tego charakterystycznego uczucia, że prawdziwe życie zaczyna się dopiero za następnymi drzwiami.

Mieszkanie znalazłam przez platformę wymiany domów. Moje krakowskie lokum zajęła na ten czas katalońska para, która potrzebowała spokojnego miejsca do pracy, a ja otrzymałam jasne, wysokie wnętrze w dzielnicy Gràcia. Na zdjęciach wyglądało niemal nierealnie: lniane zasłony, drewniany stół, balkon z kutą balustradą i dwie sypialnie rozdzielone wąskim korytarzem.

Dwie sypialnie nie były mi potrzebne, ale uznałam je za sympatyczny nadmiar.

Postawiłam laptop na stole i otworzyłam notes. Na pierwszej stronie zapisałam trzy rzeczy: skończyć dokumentację kolekcji dla muzeum, przygotować prezentację dla zespołu kuratorskiego i znaleźć jedno miejsce w Barcelonie, do którego będę wracała nie z obowiązku, lecz z przyjemności.

Pod spodem dopisałam jeszcze jedno zdanie.

Nie podejmować żadnych decyzji pod wpływem samotności.

Przeczytałam je dwa razy, po czym zamknęłam notes.

Samotność była niewygodnym słowem. Znacznie lepiej brzmiała niezależność.

Otworzyłam balkonowe drzwi. Z dołu dobiegały rozmowy, stukot filiżanek i odległy dźwięk skutera. Na przeciwległym balkonie starsza kobieta podlewała pelargonie, a jej kot obserwował mnie z miną kogoś, kto widział już zbyt wielu przyjezdnych, żeby poświęcać im uwagę.

Wyjęłam telefon i napisałam do przyjaciółki.

Dotarłam. Mieszkanie piękne. Żadnych katastrof. Przez miesiąc będę przykładną mieszkanką Barcelony.

Odpowiedź od Marty przyszła natychmiast.

Czyli za trzy dni znajdziesz powód, żeby gdzieś wyjechać?

Uśmiechnęłam się.

Nie tym razem.

Właśnie wtedy usłyszałam klucz obracający się w zamku.

Odwróciłam głowę, przekonana, że pomyliłam dźwięk z odgłosami dochodzącymi z klatki schodowej. Jednak zamek szczęknął ponownie, a drzwi wejściowe otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Do mieszkania wszedł mężczyzna.

Miał na sobie jasną lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami, granatowe spodnie i skórzaną torbę przewieszoną przez ramię. Wyglądał na kogoś, kto właśnie wrócił ze spotkania, podczas którego musiał zachować cierpliwość wobec ludzi mówiących zdecydowanie zbyt dużo. Włosy, ciemne i lekko przyprószone siwizną przy skroniach, były potargane od wiatru.

Zatrzymał się na mój widok.

Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie po polsku.

Zaskoczyło mnie to bardziej niż jego obecność.

- Za co dokładnie? - zapytałam. - Za wejście do mojego mieszkania czy za fakt, że ma pan do niego klucz?

Uniósł brwi.

- To zależy, dlaczego uważa pani, że jest pani mieszkanie.

- Ponieważ mam potwierdzenie rezerwacji, kod dostępu i wiadomość od właścicielki. A pan?

Odstawił torbę przy drzwiach, ale nie zrobił kroku w moją stronę.

- Mam dokładnie to samo.

Wyciągnął telefon. Nie podszedł bliżej, tylko obrócił ekran tak, żebym mogła zobaczyć nazwę mieszkania oraz daty pobytu.

Od pierwszego do trzydziestego czerwca.

Moje daty.

- To niemożliwe - powiedziałam.

- Właśnie zaczynam podejrzewać, że jednak możliwe.

Nie było w jego głosie ani irytacji, ani triumfu. Tylko powściągliwe rozbawienie, które natychmiast wzbudziło we mnie niechęć. Potrzebowałam kogoś równie oburzonego jak ja, a nie mężczyzny sprawiającego wrażenie, że podwójna rezerwacja stanowi interesujący problem matematyczny.

- Proszę powiedzieć, że pomylił pan piętro.

- Sprawdziłem numer na drzwiach.

- Albo budynek.

- Adres również się zgadza.

- To może przynajmniej nazwisko właścicielki?

- Clara Vidal.

Zamilkłam.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Obawiam się, że skończyły nam się łatwe wyjaśnienia.

Sięgnęłam po telefon i otworzyłam korespondencję z Clarą. Potwierdzenie było jednoznaczne. Całe mieszkanie, miesiąc, wyłączność. Przewinęłam wiadomości, odnalazłam numer kontaktowy i zadzwoniłam.

Nikt nie odebrał.

Mężczyzna poczekał, aż odłożę telefon.

- Jędrzej Kurek - przedstawił się. - Żebyśmy przynajmniej wiedzieli, z kim dzielimy ten absurd.

- Ilona Mróz.

- Miło mi, pani Ilono. Choć okoliczności mogłyby być lepsze.

- Nie jestem jeszcze pewna, czy jest mi miło.

- Rozsądne podejście.

To właśnie mnie zirytowało najbardziej. Nie próbował przejąć sytuacji, nie domagał się swojego miejsca i nie przekonywał mnie, że wszystko na pewno się ułoży. Spokojnie znosił moją nieuprzejmość, jakby wiedział, że w rzeczywistości nie chodziło o niego.

A mnie zależało na tym mieszkaniu bardziej, niż chciałam przyznać.

Na stole zadzwonił telefon. Clara oddzwaniała.

Rozmowa odbyła się po angielsku. Właścicielka mówiła szybko i przepraszała tak często, że już po minucie zaczęłam podejrzewać poważniejsze komplikacje. Okazało się, że jej partner potwierdził pobyt Jędrzeja przez drugi system, nie wiedząc o mojej wymianie. Oboje mieliśmy ważne ustalenia, a mieszkanie rzeczywiście zostało udostępnione dwóm osobom.

Clara zaproponowała zwrot pieniędzy, pomoc w szukaniu innego lokum i jeszcze kilka rozwiązań, z których żadne nie pozwalało mi odzyskać tego popołudnia.

- Nie zapłaciłam za hotel - wyjaśniłam. - Wymieniłam własne mieszkanie. Nie mogę po prostu odwołać pobytu.

Jędrzej, słysząc moją część rozmowy, sięgnął po swoją torbę.

Przez moment pomyślałam, że zamierza wyjść. Zamiast tego wyjął z niej cienką teczkę, zerknął na dokumenty i ponownie ją zamknął.

- Mogę? - zapytał, wskazując telefon.

Skinęłam głową i włączyłam głośnik.

- Claro, czy oba pokoje są przygotowane do użytku? - zapytał po angielsku.

- Tak, oczywiście.

- A mieszkanie jest ubezpieczone na pobyt dwóch niezależnych gości?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

Spojrzałam na niego uważniej.

Nie było w tym pytaniu nic romantycznego. A jednak sposób, w jaki je zadał, zmienił moje pierwsze wrażenie. Nie szukał najwygodniejszego wyjścia dla siebie. Sprawdzał, czy rozwiązanie, które zapewne przyszło mu do głowy, w ogóle było uczciwe wobec nas obojga.

Clara obiecała zweryfikować warunki i oddzwonić w ciągu godziny.

Kiedy zakończyłam połączenie, w mieszkaniu zrobiło się dziwnie cicho.

- Czym się pan zajmuje? - zapytałam.

- Jestem urbanistą.

- To wyjaśnia pytanie o ubezpieczenie?

- Raczej zawodowe skrzywienie. Zanim zaproponuję ludziom wspólną przestrzeń, sprawdzam, czy da się z niej bezpiecznie korzystać.

- Nie zaproponował mi pan wspólnej przestrzeni.

- Jeszcze nie.

Przyjrzałam mu się uważniej. Mógł mieć nieco ponad czterdzieści lat. Na palcu nie nosił obrączki. Jego torba była zniszczona w miejscach, w których skóra dotykała ramienia, lecz buty wyglądały na prawie nowe. Zauważyłam też

niewielki brelok z pojedynczym kluczem, który odpiął od pęku i schował do kieszeni, zanim położył pozostałe klucze na komodzie.

- Przyjechał pan na wakacje? - zapytałam.

- Nie. Chcę przez jakiś czas pracować z jednego miejsca.

Powiedział to z naciskiem na ostatnie słowa.

- Barcelona wydaje się dobrym wyborem.

- Taką mam nadzieję.

Odwrócił wzrok w stronę balkonu. Nie wyglądał na człowieka zachwyconego perspektywą poznawania kolejnego miasta. Raczej na kogoś, kto bardzo długo nie miał czasu zatrzymać się przy żadnym widoku.

- A pani? - zapytał. - Wakacje?

- Praca. Konsultuję dokumentację kolekcji muzealnej.

- Czyli oboje przyjechaliśmy tu pracować.

- Ja przyjechałam tu również po święty spokój.

- To akurat może być trudniejsze do zorganizowania.

Miał rację. I zdecydowanie nie podobało mi się, że już po kilku minutach znajomości potrafił wypowiedzieć coś, czego nie umiałam zakwestionować.

Przez otwarte drzwi balkonowe wpadł podmuch wiatru. Jedna z kartek mojego notesu uniosła się i przesunęła po stole. Jędrzej odruchowo przytrzymał ją dłonią, zanim spadła na podłogę.

Zobaczył zdanie zapisane na pierwszej stronie.

Nie podejmować żadnych decyzji pod wpływem samotności.

Nie przeczytał go na głos. Odwrócił notes i przesunął w moją stronę, tak żeby kartka pozostała zasłonięta.

- Przepraszam - powiedział cicho.

Tym razem nie miałam ochoty odpowiedzieć złośliwie.

- Nic się nie stało.

Przez chwilę stał przy stole, a ja obserwowałam jego dłonie. Szerokie, opalone, z niewielką blizną przy kciuku. Pomyślałam, że byłoby mi łatwiej, gdyby okazał się arogancki albo nachalny. Mogłabym go wtedy bez wyrzutów sumienia wyrzucić i domagać się rozwiązania od właścicielki.

Tymczasem po prostu odsunął się, pozostawiając mi przestrzeń.

- Nie chcę pani przeszkadzać - powiedział. - Możemy poczekać na telefon od Clary. Jeśli znajdzie rozsądne wyjście, rozważymy je oboje.

- A jeśli nie znajdzie?

Jędrzej spojrzał na zamknięte drzwi obu sypialni, potem znów na mnie.

- Wtedy będziemy musieli ustalić, czy potrafimy mieszkać pod jednym adresem, nie odbierając sobie tego, po co każde z nas tu przyjechało.

Mój telefon zawibrował. Marta przysłała kolejną wiadomość.

Pamiętaj, że miałaś wreszcie nigdzie nie uciekać.

Schowałam ekran w dłoni.

Przez cały dzień marzyłam o zamknięciu drzwi za światem. Teraz po drugiej stronie stołu stał obcy

mężczyzna, którego spokój niepokoił mnie bardziej niż sama pomyłka.

- Panie Jędrzeju - odezwałam się - a jeśli okaże się, że każde z nas potrzebuje czegoś zupełnie innego?

Nie odpowiedział od razu.

- To przynajmniej będziemy wiedzieli, o co warto zapytać, zanim któreś zdecyduje się zostać.

Patrzyłam na niego, czując, że moja starannie zaplanowana samotność właśnie straciła swoją oczywistość.

A jeśli tym razem najtrudniejsze wcale nie będzie wyjechać, tylko pozwolić komuś zostać?

Rozdział 1 - Dwa klucze do jednych drzwi

Clara zadzwoniła dokładnie czterdzieści siedem minut później. W tym czasie zdążyłam sprawdzić sześć mieszkań, odrzucić cztery z powodu ceny i dwa ze względu na lokalizację, a także wypić szklankę wody, która nie poprawiła mi humoru. Jędrzej siedział przy drugim końcu stołu, przeglądając coś na laptopie. Nie próbował zagadywać ani przekonywać mnie, że sytuacja ma swoje dobre strony. Ta powściągliwość była jednocześnie uprzejma i irytująca. Człowiek, który nie daje powodu do kłótni, potrafi utrudnić życie bardziej niż ktoś otwarcie nieprzyjemny.

- Mam informacje - oznajmiła Clara, kiedy odebrałam połączenie.

Jędrzej podniósł wzrok. Włączyłam głośnik.

- Ubezpieczenie obejmuje dwóch gości. Sprawdziłam też regulamin wspólnoty. Możecie zostać oboje, pod warunkiem że wyrazicie zgodę. Wiem jednak, że nie tak wyglądały wasze ustalenia, dlatego nie będę was do niczego namawiać.

- A inne mieszkanie? - zapytałam.

- Mam możliwość zorganizowania pokoju w apartamencie w Eixample, ale dopiero od poniedziałku. Na pierwsze trzy noce musiałabym znaleźć hotel.

Spojrzałam na kalendarz. Był piątek, pierwszy czerwca. W poniedziałek o dziewiątej miałam spotkanie z zespołem muzealnym, a przez weekend zamierzałam uporządkować materiały i przygotować pytania dotyczące pochodzenia

części eksponatów. Przenoszenie się między hotelem a kolejnym mieszkaniem oznaczało stratę co najmniej jednego dnia.

- Czy ten apartament ma osobne miejsce do pracy? - zapytałam.

- Niestety nie. To niewielkie studio.

Jędrzej zamknął laptop.

- A czy ja mogę otrzymać zwrot części kosztów, jeśli zdecyduję się zostać tutaj? - zapytał.

Clara potwierdziła, że jest to możliwe. Zaproponowała nam również pisemne porozumienie, które określałoby zasady wspólnego pobytu i odpowiedzialność za mieszkanie. Przepraszała jeszcze przez chwilę, po czym obiecała przesłać dokumenty wieczorem.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, spojrzałam na Jędrzeja.

- Czyli pan już zdecydował.

- Nie. Zapytałem o warunki.

- Brzmiało to, jakby zamierzał pan zostać.

- Zamierzam, jeśli uzgodnimy rozsądne zasady.

- A jeśli nie uzgodnimy?

- Wtedy poszukam innego rozwiązania.

Odpowiedział bez wahania. Nie wiedziałam, czy mówił szczerze, czy po prostu doskonale panował nad emocjami. Przyzwyczaiłam się do negocjacji, w których ludzie pokazywali swoje prawdziwe zamiary dopiero wtedy, kiedy coś zaczynało im umykać. On nie wyglądał na człowieka, który obawia się utraty czegokolwiek.

- Nie znam pana - powiedziałam.

- Ja pani również nie znam. To dobry argument za ostrożnością, a nie automatycznie przeciwko wspólnemu mieszkaniu.

- Ma pan odpowiedź na wszystko?

- Nie. Na przykład nie wiem, dlaczego pani od początku mówi do mnie tak, jakbym osobiście dopisał się do jej rezerwacji.

Nie spodziewałam się tego. Zamiast natychmiast odpowiedzieć, przyjrzałam mu się uważniej. Miał spokojne oczy, ciemne z jaśniejszymi plamkami przy źrenicach, i usta, które nawet bez uśmiechu zdradzały skłonność do ironii. Dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo starał się nie zajmować przestrzeni. Siedział bokiem do stołu, pozostawiając mi swobodny dostęp do kuchni i balkonu.

- Ponieważ pojawił się pan w chwili, w której wszystko miało być wreszcie proste - przyznałam.

Jego wyraz twarzy złagodniał.

- To już rozumiem.

Nie zapytał, dlaczego tak bardzo potrzebowałam prostoty. Byłam mu za to wdzięczna.

Otworzyłam ponownie oferty mieszkań, chociaż znałam je niemal na pamięć. Mogłam znaleźć hotel, przenieść dokumenty i przez kilka dni pracować przy niewygodnym biurku. Mogłam również zażądać rekompensaty i wrócić do Krakowa, lecz oznaczałoby to wycofanie się z projektu, który sama zaproponowałam. Żadna z tych możliwości nie była rozsądna. Wszystkie natomiast dawały mi wygodną przewagę: nie musiałabym przystosowywać się do obecności drugiego człowieka.

- Potrzebuję ciszy od ósmej do czternastej - powiedziałam wreszcie.

Jędrzej odłożył telefon.

- Codziennie?

- W dni robocze. Czasami również wieczorem.

- Mam spotkania online. Niektóre trwają po dwie godziny.

- Może pan korzystać ze swojej sypialni.

- Zanim do niej przejdę, chciałbym ustalić jedną rzecz.

Oparłam dłonie na oparciu krzesła.

- Słucham.

- Nie chcę, żebyśmy przez miesiąc zachowywali się jak intruzi we własnym mieszkaniu. Nie będę prosił o pozwolenie na zrobienie kawy ani przepraszał za to, że wracam wieczorem. Oczywiście będziemy respektować wzajemną prywatność. Ale jeśli mamy tu mieszkać, oboje musimy mieć prawo naprawdę korzystać z tej przestrzeni.

Przez chwilę szukałam argumentu przeciwko temu warunkowi. Nie znalazłam żadnego, który nie brzmiałby absurdalnie.

- Czyli nie zgadza się pan na życie według mojego harmonogramu.

- Zgadzam się na uwzględnienie pani harmonogramu. To różnica.

Odwróciłam wzrok w stronę balkonu. Na zewnątrz ktoś śmiał się głośno, a z pobliskiego mieszkania dochodziła muzyka. Barcelona najwyraźniej nie zamierzała dostosowywać się do mojego planu, niezależnie od tego, czy Jędrzej zostanie.

- Dobrze - powiedziałam. - Spróbujmy.

Nie uśmiechnął się zwycięsko. Skinął tylko głową, jakby właśnie zakończyliśmy pierwszą część rozmowy, a nie podjęli decyzję, która zmieniała cały mój pobyt.

Potem poszliśmy obejrzeć sypialnie.

Pierwsza była większa, z balkonowym oknem wychodzącym na wewnętrzne patio. Miała szerokie łóżko, szafę i niewielkie biurko. Druga znajdowała się od strony ulicy, była jaśniejsza, lecz trochę mniejsza. Stało w niej pojedyncze szerokie łóżko i regał, na którym ktoś zostawił kilka hiszpańskich powieści.

- Proszę wybrać - powiedział Jędrzej.

- Pierwsza ma biurko.

- Wiem.

- Pan również pracuje.

- Mam wystarczająco dużo miejsca na stole w salonie.

Przez moment podejrzewałam, że próbuje być przesadnie szarmancki. Potem przypomniałam sobie jego warunek dotyczący wspólnej przestrzeni.

- A jeśli będę pracowała w salonie?

- Wtedy zamienimy się miejscami albo ustalimy godziny.

- Pan naprawdę lubi negocjować.

- Nie. Lubię wiedzieć, na czym stoję.

Wybrałam większy pokój. Jędrzej przyjął decyzję bez komentarza, zaniósł swoją torbę do drugiej sypialni i zamknął drzwi. Zostałam sama na korytarzu, zaskoczona poczuciem, że właśnie dostałam coś więcej niż dodatkową przestrzeń. Nie musiałam walczyć o każdy szczegół.

Rozpakowanie walizki zajęło mi dwadzieścia minut. Ułożyłam ubrania w szafie, ustawiłam kosmetyki w łazience i

rozłożyłam dokumenty na biurku. Przez cały czas nasłuchiwałam odgłosów dochodzących z drugiej części mieszkania. Jędrzej poruszał się cicho. Raz zadzwonił jego telefon. Usłyszałam kilka krótkich zdań po angielsku, potem coś po polsku, wypowiedziane stanowczym głosem.

- Nie, nie będę tego znowu przekładał. Ustaliliśmy datę.

Zamknęłam własne drzwi, zanim mogłam usłyszeć więcej.

Nie interesowało mnie jego życie. Przynajmniej tak sobie powtarzałam.

Około osiemnastej wyszłam do kuchni. Jędrzej stał przy blacie i próbował uruchomić ekspres do kawy. Miał już zdjęty zegarek, a rękawy koszuli podwinięte jeszcze wyżej. Na drewnianej desce leżała instrukcja obsługi po katalońsku.

- Udało się? - zapytałam.

- Jestem blisko.

- To znaczy?

- Odkryłem, jak otwiera się pojemnik na wodę. Reszta wymaga cierpliwości.

Podeszłam, nacisnęłam dwa przyciski i urządzenie zaczęło pracować.

Jędrzej spojrzał na mnie z wyraźnym uznaniem.

- Zna się pani na ekspresach?

- Na rozpoznawaniu symboli. To przydatne w mojej pracy.

- Powinienem był zapytać wcześniej.

- Zdecydowanie.

Podałam mu filiżankę. Nasze palce znalazły się przez moment blisko siebie, lecz nie dotknęliśmy się. Zauważyłam za to, że jego uwaga zatrzymała się na mojej twarzy odrobinę dłużej, niż wymagała zwykła uprzejmość.

- Dziękuję, Ilono.

Pierwszy raz wypowiedział moje imię bez formalnego dodatku. Brzmiało inaczej, niż się spodziewałam. Niżej, spokojniej, jakby nie potrzebował szczególnego wysiłku, żeby nadać mu znaczenie.

- Proszę bardzo, Jędrzeju.

Uniósł filiżankę.

- Skoro już przeszliśmy na imiona, może ustalimy, kto odpowiada za kolejne awarie sprzętu?

- Ten, kto pierwszy je zauważy.

- Niebezpieczna zasada. Zazwyczaj dostrzegam problemy wcześniej niż inni.

- W takim razie będzie pan bardzo zajęty.

Zaśmiał się krótko. Lubiłam ten śmiech bardziej, niż chciałam przyznać.

Wieczorem usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole. Clara przesłała porozumienie, a my dodaliśmy do niego własne ustalenia. Osobne sypialnie, prywatne rzeczy, brak niezapowiedzianych gości, uzgadnianie korzystania ze wspólnej przestrzeni podczas ważnych spotkań. Podział kosztów wspólnych zakupów miał być równy, a zwrot części opłat od Clary otrzymać miało każde z nas osobno.

- I żadnego przekładania cudzych rzeczy bez pytania - dodałam.

Jędrzej spojrzał na mój notes leżący obok laptopa.

- Zgadzam się.

Wiedziałam, że pamiętał zapisane tam zdanie. Nie próbował jednak z niego żartować ani pytać o jego znaczenie.

- A ty? - zapytałam. - Masz jeszcze jakiś warunek?

Przez chwilę obracał długopis między palcami.

- Tak. Nie chcę, żebyśmy ukrywali problemy tylko po to, żeby zachować pozorny spokój.

- To dość szerokie żądanie.

- Wystarczy na początek.

- A jeśli problemem okażesz się ty?

- Wolałbym dowiedzieć się o tym wcześniej niż przy śniadaniu ostatniego dnia.

Zawahałam się, po czym dopisałam jego warunek.

Kiedy skończyliśmy, przesłaliśmy dokument Clarze. Odpowiedziała po kilku minutach, potwierdzając ustalenia i zapewniając, że jutro prześle szczegóły rozliczenia. Nie było już formalnych przeszkód, żebyśmy zostali.

Powinnam poczuć ulgę.

Zamiast tego odniosłam wrażenie, że właśnie podpisałam umowę dotyczącą czegoś znacznie trudniejszego do przewidzenia niż wspólne mieszkanie.

Jędrzej zebrał swoje dokumenty i wstał.

- Idę kupić coś do jedzenia. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Na pewno?

- Mam wszystko.

Nie zapytał ponownie. Po prostu wyszedł.

Przez następne pół godziny pracowałam nad materiałami muzealnymi. Sprawdzałam daty, porównywałam opisy i próbowałam skoncentrować się na zadaniu wymagającym

precyzji. Jednak kiedy usłyszałam kroki na klatce schodowej, automatycznie podniosłam głowę.

Nie był to Jędrzej.

Zirytowałam się na własną reakcję.

Wrócił kilkanaście minut później z papierową torbą. Wyjął pomidory, świeży chleb, oliwki i dwa niewielkie kawałki sera. Potem postawił na blacie butelkę wody gazowanej oraz opakowanie truskawek.

- Wiem, że mówiłaś, że niczego nie potrzebujesz - odezwał się - ale kupiłem trochę więcej. Jeśli zmienisz zdanie, częstuj się.

- Nie musiałeś.

- Wiem.

Nie było w tym żadnego oczekiwania wdzięczności. I właśnie dlatego, gdy poczułam zapach świeżego pieczywa, zamknęłam laptop.

- Mogę ukroić pomidory - zaproponowałam.

Jędrzej spojrzał na mnie.

- To już brzmi jak współpraca.

- Nie przyzwyczajaj się.

- Nie zamierzam niczego zakładać.

Przygotowaliśmy prostą kolację. Jedliśmy przy otwartym balkonie, słuchając rozmów dobiegających z ulicy. Nie opowiadaliśmy o swoich dawnych związkach ani o powodach, dla których każde z nas znalazło się właśnie tutaj. Rozmawialiśmy o Barcelonie, o trudnych do wymówienia katalońskich nazwach i o tym, że niektóre miasta sprawiają wrażenie zaprojektowanych bardziej do życia niż do zwiedzania.

- To jedna z rzeczy, które lubię w tej dzielnicy - powiedział Jędrzej. - Ludzie nie muszą codziennie szukać nowego miejsca. Mają swoje piekarnie, swoje ławki, swoje powody, żeby wracać.

- Brzmi trochę zbyt przewidywalnie.

- Dla mnie właśnie w tym tkwi urok.

Spojrzałam na niego znad szklanki.

- A ja lubię miejsca, których jeszcze nie znam.

- Wiem.

- Skąd?

- Od dwóch godzin próbujesz zaplanować następne cztery tygodnie tak, żeby żaden dzień nie wyglądał podobnie.

Nie spodziewałam się, że to zauważył.

- A ty chciałbyś, żeby wszystkie wyglądały tak samo?

- Nie. Chciałbym po prostu wiedzieć, gdzie będę następnego ranka.

Powiedział to lekko, ale coś w jego spojrzeniu sprawiło, że nie potraktowałam słów jako żartu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Potem wstałam, zebrałam talerze i zaniosłam je do zlewu. Jędrzej podszedł, żeby mi pomóc. Stanęliśmy obok siebie w wąskiej kuchni. Poczułam zapach jego koszuli, czystej bawełny i delikatnego, drzewnego aromatu, którego nie potrafiłam nazwać.

- Ilona?

Odwróciłam głowę.

- Tak?

- Jeśli jutro rano będziesz potrzebowała ciszy, daj mi znać. Mogę wyjść popracować.

- Nie musisz się wyprowadzać za każdym razem, kiedy otworzę laptop.

Uśmiechnął się.

- Dobrze. To była właśnie odpowiedź, na którą liczyłem.

Odsunął się, pozostawiając mi przejście.

Kiedy później zamknęłam drzwi swojej sypialni, zorientowałam się, że po raz pierwszy od przyjazdu nie sprawdziłam żadnej alternatywnej rezerwacji.

Za ścianą usłyszałam cichy dźwięk odsuwanej szuflady, potem kroki.

Mieszkanie przestało być idealnie ciche.

A jednak, ku własnemu zaskoczeniu, nie miałam ochoty tego zmieniać.

Rozdział 2 - Umowa na trzydzieści dni

Następnego ranka obudził mnie zapach kawy i odgłos otwieranych balkonowych drzwi. Przez moment nie wiedziałam, gdzie jestem. Światło wpadające przez zasłony miało ciepły, złotawy odcień, a z ulicy dochodziły głosy ludzi, którzy najwyraźniej nie widzieli powodu, żeby w sobotę rano mówić ciszej.

Spojrzałam na zegarek. Była siódma czterdzieści.

Zwykle w nowym miejscu wstawałam natychmiast. Odkrywanie nieznanej dzielnicy stanowiło rodzaj rytuału, który pomagał mi zachować poczucie kontroli. Tym razem przez kilka minut leżałam nieruchomo, nasłuchując odgłosów mieszkania. Usłyszałam brzęk filiżanki, cichy szelest papieru i kroki oddalające się od kuchni.

Ktoś już tutaj żył, zanim zdążyłam rozpocząć własny dzień.

Wstałam, założyłam lekką sukienkę i wyszłam z pokoju.

Jędrzej siedział na balkonie z filiżanką kawy i niewielkim szkicownikiem. Miał na sobie ciemny T-shirt oraz lniane spodnie. Na stole obok leżał telefon, ale ekran był wygaszony. Przez chwilę obserwowałam go przez szybę. Rysował coś szybko, krótkimi liniami, od czasu do czasu spoglądając na budynki po drugiej stronie ulicy.

Kiedy mnie zauważył, zamknął szkicownik.

- Dzień dobry.

- Od dawna nie śpisz?

- Od szóstej.